

## Spowiedź antenowa i grzechów nieodpuszczenie

**To, że większość konfliktów zaczyna się od wypowiedzenia okrutnych słów, a media z prawa i lewa manipulują przekazem oraz debatą publiczną, wiemy od dawna. To, jak opowiedzieć w teatrze o przekaźnikach przeistaczających się dla ich słuchaczy w „Biblię” i w jaki sposób radzić sobie ze strachem wynikającym m.in. z hejtu postanowili nakreślić Marcin Kącki oraz Aneta Groszyńska w spektaklu „Wróg się rodzi” zrealizowanym w Teatrze im. Wilama Horzycy w Toruniu. Nie bez teatralnych grzechów. Sprawdźmy zatem, które z nich zostały przez twórców popelnione.**

Brutalizację języka debaty publicznej i jej skutki w spektaklu Groszyńskiej oglądamy trochę z pozycji widza przywróconego po latach do telewizji *reality show* „Big Brother”. Tyle że zdecydowanie nie jest to program rozrywkowy. W pierwszym z kilku mobilnych oszklonych kubików (scenografia Tomasz Walesiak) obserwujemy najpierw studio radiowe rwandyjskiej stacji „Radio Television Libre des Mille Collins” (RTL) – „Radio tysiąca wzgórz”, która w 1994 roku wprost namawiała słuchaczy do mordów na przeciwnikach politycznych Tutsi i w krótkim czasie doprowadziła do rzezi prawie miliona ludzi! Nieliczni, którzy przeżyli masakry, wspominali często, że oprawcy przybywali „z maczetą w jednej dłoni, a odbiornikiem radiowym w drugiej”, bowiem radio przez całą dobę nadawało wyraźne dyrektywy, gdzie i ilu Tutsi („karaluchów do wyrżnięcia”) ukrywa się w tym czy innym miejscu. Jakkolwiek mocny przekaz werbalny George Ruggiu (Bartosz Woźny) i Prezenterki (Matylda Podfilipska) przeplatany zachodnimi piosenkami i jedynym (jeszcze nie wiemy, jak brutalnym) obrazem filmowym z rwandyjskiej rzezi, po kilkudziesięciu minutach staje się dla widza przezroczystym przez nadmiar repetycji oraz jednostajnych komunikatów płynących z anteny.

Co ciekawe, Marcin Kącki w swej sztuce przyczynę ruandyskiej masakry i wybuchu mowy nienawiści widzi w konotacji dwóch katastrof lotniczych, w której zginęli prezydenci krajów: 6 kwietnia 1994 roku prezydent-dyktator Ruandy, generał Habyariman, i tej tragicznie bliższej nam, Polakom, do której doszło 16 lat i 4 dni później... Kącki nie wspomina jednak, że już na trzy lata przed katastrofą smoleńską, szef Radia Maryja o parze prezydenckiej mówił, że „Prezydentowa to czarownica, która powinna się poddać eutanazji, a prezydent to oszust ulegający lobby żydowskiemu.” Po antrakcie studio Radia RTL „przekształcone” zostaje w miejsce pracy radiowych dziennikarzy koncernu Tadeusza Rydyka w Toruniu, co zasugerowane zostaje jedynie przesunięciem go ukosem bliżej proscenium (wszak nie jesteśmy już w dalekiej Afryce) i pojawieniem się przy mikrofonach Siostry (Maria Kierzkowska) oraz Księdza, czyli Arkadiusza Walesiaka. Oboje swe postaci kreują zabawnie, zachowując niepastiszowe proporcje, gwoli wprowadzenia lżejszego, wydawałoby się, nastroju. Od tej pory akcja toczy się już w kilku planach: kolejnych kubików z kuchnią Pielgrzymki (Teresa Stępień-Nowicka) oraz „cełą” samotnego (!) Dyrektora. Ten „bohater” kreowany precyzyjnie przez grającego gościnnie Filipa Perkowskiego stara się widowni nawet przypodobać: grając na gitarze „Knockin’ on Heaven’s Door” Boba Dylana czy też żartując z feministek, jednak w kolejnych scenach poznajemy obraz doskonale wszystkim znany: twardego gracza politycznego i bezdusznego biznesmena, wyciągającego ostatni grosz

od samotnej emerytki. Jego niezborny sposób perorowania w eterze, w przedziwny sposób trafia do słuchaczy, tyle, że czy tylko starszych? Właśnie – mimo urokliwej roli Pielgrzymki krzątającej się w kuchni w rytm głosów spikerów radiowych płynących z małego odbiornika na lodówce, duet realizatorski Kącki / Groszyńska zupełnie nie zaskakuje wprowadzeniem tej postaci, jakby nie uznając, że słuchaczami tej stacji są także ludzie z innych grup wiekowych. Niespodzianka pojawia się za to w obsadzeniu Kariny Krzywickiej w roli Boga, pojawiającego się to w kuchni Pielgrzymki/Matki, to w studiu radiowym czy też wśród samej widowni. Jej obecność raz po raz, na szczęście, przywraca spektaklowi konwencję teatralną, wnosząc pozytywnie odrębną nutę do całego spektaklu.

Im dłużej trwa przedstawienie, tym bardziej otwieramy szeroko ze zdziwienia oczy, a za chwilę ze zmęczenia je zamykamy, patrząc na kolejne rozbudowane zamysły scenarzysty i – niebędącej w stanie ich poskromić na scenie – reżyserki. O ile początkowo duże wrażenie robi monolog Adolfa Hitlera wygłaszany popisowo po niemiecku przez Bartosza Woźnego, o tyle niewytłumaczalnym pozostaje jego długość. Jego wykład, stylizowany na te prezentowane w TED, każe nam spojrzeć na współczesnych neofaszystów i antysemitów głoszących swoje chore teorie nie tylko przez mikrofony, ale również w Internecie. Czy Hitler dziś, na kanale YouTube, przebiłby się ze swoimi zbrodniczymi teoriami przez multum teledysków? Czy może nieświadomie podpiąłby się pod kilkunastominutowy klip „Deutschland” grupy Rammstein? Należy żałować również, że reżyserce zabrakło konsekwencji w kolejnym długim wykładzie Hannah Arendt, który powinien być wygłoszony przez Matyldę Podfilipską, jeśli nie po niemiecku, to przynajmniej w języku angielskim.

Również kilkukrotne dialogi Carli del Ponte (Jolanta Teska), głównej Prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego dla Rwandy z Adwokatem (Michał Marek Ubysz) stają się papierosową tyradą konstatacji o winie i karze, ale załamują się, co i rusz przeistaczając się w porwane dyskusje rodem z filmów Marka Koterskiego. Choć dotyczą przecież także win niektórych katolickich księży popełnianych podczas masakry w Ruandzie, to ich szczegółowość wyraźnie zaczyna usypiać widzów i to bardziej niż wykład Biskupa (Jarosław Felczykowski, także w roli trzymanego na pasku ojca dyrektora – Ministra). Podczas gdy w dialogach zaczyna pojawiać się niespodzianie wojna w Hiszpanii 1936-39, zaczynamy wpadać w panikę, że scenarzysta w swej opowieści wróci też do średniowiecznych krucjat! Tak się, na szczęście, nie dzieje. Kiedy jednak do tego całego sosu Kącki dolewa także Brata (Księdza), gościnnie gra go Michał Józwick, będącego gejem molestowanym w dzieciństwie przez proboszcza – to ostatecznie dociera do nas pytanie: jak odnaleźć wątek główny w tym chaosie informacji? Lejtmotyw ofiar mowy (nie tylko) nienawiści wprawdzie pozostaje, jednak jest w nim coś drażniącego. Nie w sensie rozsądkowego pobudzenia wyobraźni odbiorcy, tylko w utajonym przekonaniu, że autor usiłuje rozdać w gruncie rzeczy małe baloniki do objętości balonu stratosferycznego.

Ranga obiektywnych zadań każe recenzentowi jednakże wymienić z podziwem także kilka elementów przedstawienia oraz jego scen, które warto zapamiętać, i które wskazują na reżyserski instynkt Anety Groszyńskiej. To przede wszystkim niepokojąco piękna muzyka Eli Orleans, która umuzyczyła wiersze żydowskiej poetki, Zuzanny Ginczanki, wspaniale wykonywane w spektaklu przez Matyldę Podfilipską. Jej piękno szczególnie uwydatnia się w scenie, w której to bohaterka wykonuje słynny wiersz „Non omnis moriar”, trzymając na

swym łonie głowę śpiącego Dyrektora. Warto, by aktorka pomyślała o monodramie muzycznym poświęconym tej zapomnianej poetce lub nagraniu płyty z piosenkami.

Kapitałną sceną pozostaje również moment dyktowania numeru konta rozgłośni przez jej spikera, rozanielonym głosem Arkadiusza Walesiaka i „zapisywanie” go kolorowymi magnesami na lodówce przez Pielgrzymkę/Matkę. Należy też wspomnieć o finale przedstawienia, rozgrywającym się przy wigilijnym stole, tak podzielonym we współczesnej Polsce, że aż się na płacz zbiera.

Nie można powiedzieć o ostatniej premierze Teatru im. Wilama Horzycy, by miała w sobie jakąś magię czy super-teatralność powodujące, że chciałoby się spektakl Anety Groszyńskiej oglądać ponownie, aczkolwiek porusza temat pasjonujący nie tylko w Toruniu (choć może właśnie tutaj najbardziej) i niestety znamieny: temat mowy nienawiści i wywołanych przez nią skutków. Mimo arcyciekawego dla torunian, po raz pierwszy poruszanego w lokalnej sztuce kontekstu Radia Maryja, mimo znakomitej gry Filipa Perkowskiego wcielającego się w Dyrektora, równie prawdziwej kreacji Arkadiusza Walesiaka w roli Księdza przy mikrofonie czy nieodgadnionego Boga (Karina Krzywicka) – nowe toruńskie przedstawienie nie porywa i niestety bezceremonialnie nuży.

Może z tej przyczyny, że jest po prostu za długie, dziennikarsko chłodne, bez pasji i w dodatku zrealizowane w konwencji programu publicystycznego, który słowami wielu gadających głów miał zapewne silnie wydobyć okrutne skutki działania mediów. Miało pokazać mechanizmy manipulowania psychiką słuchaczy, wykręcania o 180 stopni pokrętem radiodbiornika ich moralności, ale chyba w pełni tego nie wydobyło. Na plan pierwszy wysunęła się bowiem jedynie okrutność sytuacji utopiona w morzu słów; słów mądrych, generujących wyraziste zdania scenarzysty, Marcina Kąckiego, jakie znamy z jego świetnych, wielostronicowych reportaży prasowych w „Dużym Formacie”. Jednak, gdy słowa te kwotowo przełożyć na język teatru – zamiast bogatych, falujących i wibrujących w wyobraźni widza, w ubogiej dramaturgii stają się bezrytmicznym przykładem namiętej publicystyki. Szkoda, że tak się stało. Nie bez znaczenia pozostaje tu chyba fakt, iż Marcin Kącki „ (...) dramaturgię stawia bardziej z boku reportażu (...)” – jak usłyszeć było można w jego wypowiedzi dla TV Toruń.

Reżyserka przedstawienia, Aneta Groszyńska, przy tak wielkiej ilości tekstu historyczno-publicystycznego nie uniknęła niestety ryzyka, że bez wyżej wspomnianej dramaturgii owemu wielosłowiu łatwo można zarzucić semantyczną pustkę, a poetykę inscenizacji sprowadzić tylko do czczego wymiaru taniej dydaktyki, podlanej od czasu do czasu humorem. Na szczęście nie odbiło się to w sposób bardzo dotkliwy na grze toruńskich aktorów, ale i tak autor wraz z reżyserką pozostają z żalem za grzechy.

**Aram Stern**

Menażeria

10.04.2019